

cd.

17/ Zaczynam się wkurzać na prowadzenie mnie przez nawigację. „Do cholery, niby ma być droga dla rowerów, a tu co chwila droga tylko dla traktorów! W ostateczności dla grubasa, znaczy roweru na bardzo szerokich oponach do jazdy po piachach. Ale gdzie ja w środku lasu znajdę grubasa, aby zmienić pojazd do jazdy?!”.

Zerkam w telefon, ile zostało mi kilometrów do Kwidzyna. Kurde, prawie nic nie ujechałem, a przecież cały czas naciskałem na pedały! Co najmniej pół godziny z zapasu już mi znikło. Na szczęście mam jeszcze kolejne pół godziny nadróbki... ale to przy normalnej prędkości z 20 kilosów na godzinę, a nie w ślamazarnym tempie. Do tego kolejna informacja „Szukam nowej trasy”. A niech cię!

No dobra, jakąś pokazuje, ale dalej prowadzi w gęstym lesie. Dróżka kręci raz w lewo, raz w prawo... czy nikt tu z okolicznych nie słyszał, co to jest linia prosta? Trudno, nie ma czasu na rozmyślenia ani postój, minuty mi uciekają. Mógłbym jechać starym sposobem, kiedy jeszcze nikt nie słyszał o GPS i nawigacji – według słońca, mając je o tej porze z prawej strony z przodu, ale nie przy tak kręconej trasie. Echh... no dobra, jedziemy jak telefon mi wskazuje...

Gdzie wskazuje? Co wskazuje?! Tylko tego brakowało – sygnał zniknął, a ja w szczerym polu, dokładniej – w dzikiej leśnej głuszy. Szczere pole byłoby dla mnie wybawieniem. Jadę dalej na czuja, orientując się według słońca. Tylko te dróżki-kręconki albo skrzyżowania i rozjazdy nie pod kątem prostym. Szlag!

18/ W końcu widzę przejaśnienie między drzewami. Wyjeżdżam na małą polankę w lesie z jednym, samotnym gospodarstwem. Zamieszkałe! – na podwórzu stoi przyczepa traktora, na którą dwóch mężczyzn wrzuca widłami gnój... ee... znaczy naturalny, ekologiczny nawóz. Wchłaniam nozdrzami aromatyczny zapaszek; tak, aromatyczny gdyż świadczy o moim dotarciu do skrawka cywilizacji ludzkiej. Na mój widok zrywa się niemały-nieduży brytan i pędzi w moją stronę. Przystanąłem, gwizdnąłem i moje łagodne ale zdecydowane „No co piesku” uspokoiło go. Stary sposób, od dziesiątków lat praktykowany znowu mnie nie zawiodł. Psy wyczuwają człeka, który lubi „najlepszego przyjaciela człowieka”. Dobrze, że gospodarstwo nieogrodzone... za płotem psy by broniły zażarcie obiektu.

Starszy z mężczyzn zauważył mnie i odwołał brytana. Podjechałem wolno do nich.

– Dzień dobry – zagaiłem. – Jadę do Kwidzyna, ale GPS mi w telefonie znikł. Czy tą przesieką wyjadę na jakąś szosę lub twardy szuter? Muszę podgonić, chcę zdążyć na pociąg.

– Dzień dobry. – Starszy z mężczyzn oparł się na widłach. – To nie tędy, ta droga skręca w prawo, w stronę Wisły, potem już wąskie ścieżynki. A GPS mało kto tu łapie.

Cholera, tyle to sam wiem, że muszę odbijać w lewo. Znowu tę kręciołki, „odbija w prawo”.

– To jak mi pojechać? Gdzie najbliższej jakaś szosa?

– Tu wszystkie drogi w lesie się kręcą i dużo piachu. Łatwo pobłądzić. Jak panu się śpieszy, to najlepiej niech pan wróci – wskazał kierunek, skąd przybyłem – do krzyżówki i w prawo. To będzie – zastanowił

się – nie pierwsza a druga krzyżówka. Stamtąd będzie z pięć kilometrów i wyjedzie pan na szosę i w prawo.

– A do tej krzyżówki ile? Po czym ją poznam, abym nie wjechał w złą?

– Będzie mniej, tak z trzy kilometry. Za pierwszą krzyżówką będzie jeszcze droga odchodząca w prawo, ale to nie ta. Dopiero za nią, musi być krzyżówka. Pozna pan, przy niej rośnie duża brzoza.

„Będzie z trzy kilometry”! Sacrebleu, znowu dodatkowe kilometry, a czas ucieka. Teraz już zacząłem się martwić, ile zapasu czasu mi zostało. A miałem przecież ponad godzinę. Jeżeli jeszcze coś mi przeszkodzi...

– Dzięki, spokojnej pracy – rzuciłem, zawracając rower.

– Nie pomoże nam pan przy wrzucaniu gnoju? – zapytał ze śmiechem. – Mam trzecie widły. Pójdzie szybciej.

– Dzisiaj nie mogę, śpieszę się. – Podniosłem kciuk w górę. – Przy następnym spotkaniu...

– Jeśli pan tu ponownie trafi... – Ponownie zaśmiał się. – Tu tylko miejscowi trafiają.

Zakręciłem dłonią młynka nad głową i nacisnąłem na pedały. „Druga krzyżówka, brzoza, druga krzyżówka, brzoza i w prawo” powtarzałem w myśli. „Ile mam jeszcze czasu? Że ten cholerny GPS musiał wysiąść...”

19/ Jechałem tak szybko, jak pozwalała droga. Minąłem krzyżówkę, potem rozjazd i nagle... chyba GPS mnie usłyszał, zlitował się i włączył ponownie nawigację. „Szukam nowej trasy”... A szukaj se! Nie mam czasu na twoje fanaberie i czekanie aż coś pokażesz. Pewnie znowu wynajdziesz jakieś „rowerowe” piachy....

Mniej więcej wiedziałem już, jak jechać. Dojechałem do drugiej krzyżówki. Faktycznie, trudno nie zauważyć dużej brzozy. Skręciłem w prawo i... o dziwo – ta leśna droga prowadziła już prosto jak strzełił, bez żadnych zakrętasów. Były na niej bardziej piaszczyste odcinki, spowalniały mnie, ale na szczęście nie było ich dużo.

Zobaczyłem wreszcie przed sobą czarną smugę. Szosa, asfalt! Skręciłem w prawo i mogłem teraz nacisnąć na pedały, ile jeszcze zostało pary w mięśniach nóg. Minąłem pierwszą małą wioskę... to jednak są tu wioski, a nie tylko lasy i lasy? Przejechałem obok sklepiku, ale już nie zatrzymałem się, aby kupić napój. Nie wiedziałem, ile zostało mi czasu i jak daleko do Kwidzyna. Wejdę, kupię, stracę głupie kilka minut i przez to mogę zobaczyć tylko czerwone światła odjeżdżającego pociągu na dworcu... Zresztą, słońce było już bardzo nisko nad horyzontem i upał był tylko wspomnieniem; było idealnie ciepło do szybkiej jazdy. Przełknąłem zaschniętą ślinę. „Kurde, dwa-trzy duże łyki wody i już byłoby lepiej. Coś za coś; ważniejsze jest zdążyć na pociąg”.

Zerknąłem do telefonu, czy znalazł „nową trasę” i w tym momencie wyświetlacz ściemniał. Co jest?! Przecież jest podłączony do powerbanku... Stałem na chwilę. No tak, w smartfonie zostało ledwie kilka % w baterii, a ja mam włączone dwie aplikacje i do tego nawigację. Żarły prąd szybciej niż powerbank

podawał. Kurde, że nie pomyślałem wyłączyć przynajmniej jedną. Ale pierwszy raz jechałem aż na trzech apkach... następna nauczka.

Ale to na przyszłość nauczka. Teraz muszę zdążyć na pociąg. Ważne, że byłem na szosie. Która to godzina? Zerknąłem na zegarek smartbanda – też ciemny! Też jechałem na nim z włączoną inną apką...

Nie wiem, ile mam jeszcze kilometrów do Kwidzyna, nie wiem, która godzina, nie wiem, czy zdążę... No ładnie.

20/ W myśli przeklinałem sam siebie. „Durniu, musiałeś nastawić nawigację na trasę rowerową? Musiałeś?! Wiedziałeś, że jesteś zobligowany czasem. To co, że niby półtorej godziny zapasu? Masz swój zasrany zapas! Teraz pędzisz i nie wiesz czy zdążysz. A wystarczyło nastawić trasę na samochód i jechać szosą. Przecież nie musiałeś jechać krajówką, wybrałbyś alternatywną, bocznymi ale asfaltowymi. Zawsze pokazują alternatywne. Teraz masz za swoje... I nie jęcz, tylko naciskaj, durnoto!”

Dojechałem do innej, poprzecznej szosy. W którą stronę? Oczywiście, że w prawo, na południe. Słońce mam teraz z prawej, więc w porządku. Tylko dlaczego jest już tak nisko! Musi tak zapindalać w dół?! Żeby ja wiedział, która to godzina i ile kilosów zostało...

W tym momencie zobaczyłem przed sobą zieloną tablicę „Kwidzyn 9 km”. Wreszcie jedna zagadka się rozwiązała. Druga „ile mam czasu” dalej w ciemnej mgle – przy szosie ani żywego ducha, który mógłby mi udzielić odpowiedzi. A to ona by mi powiedziała, czy mam dalej pędzić, czy też odpuścić, gdyż i tak nie zdążę.

Po krótkiej chwili druga tablica, kierunkowa – na Kwidzyn w lewo. Skręcam i po kilkuset metrach szosa zaczyna dość ostro wspinać się w górę. „Kurde, nie teraz, kiedy na czasie mi zależy. Cholernie zależy”! Mogę się wściekać. Nawet nie mam na to czasu. Byleby nie był to długi podjazd, nie jest zbyt łagodny... Jednak jest długi, prędkość jazdy spada mi wyraźnie, ale wreszcie widzę już wypłaszczenie... uff, jeszcze trochę. Jeszcze jedno naciśnięcie, szosa na wypłaszczeniu skręca w prawo, niknąc między drzewami...

No nie! – to nie było wypłaszczenie, tylko drzewa zasłaniały, co mnie czekało za zakrętem. Dalszy podjazd! Miałem w zębach przekleństwa, klnę własną głupotę, ale nie przestaję mozolnie wspinać się; jeszcze trochę i zsiądę... ale nie mam przecież czasu na prowadzenie roweru!

Wreszcie koniec tego długachnego, przekłętogo podjazdu. Dojeżdżam do większej szosy i skręcam w prawo. To pewnie... widzę słupek z liczbą „55” – tak, to krajówka. Ile jeszcze zostało?

Teraz jazda jest lżejsza, nawet prowadzi lekko z górki. Wreszcie pojawia się zbawcza tablica „Kwidzyn”. Jestem w domu! Znaczący na razie u celu mojego pedałowania. Tylko czy zdążę na pociąg? Dalej żadnego człowieka przy drodze.

21/ Kręcę dalej, jadę już między pierwszymi zabudowaniami i wreszcie jest nadzieja – z bocznej uliczki wyjechał chłopak na rowerze. Przystanąłem i zatrzymałem go.

– Słuchaj, która jest godzina? Wszystko mi wysiadło.

Spojrzał na zegarek:

.
– Osiem po siódmej.

.
Osiem po siódmej! Kurde! Za dziesięć minut odjeżdża mój pociąg...

.
– Śpieszę się na dworzec, mam ledwie dziesięć minut. Jak tam dojechać?

.
– To musi pan dalej prosto, potem na drugim... – zawahał się, zastanowił i poprawił – nie, na trzecim skrzyżowaniu w prawo, potem... Ale jak pan nie zna miasta, to pan nie zdąży.

.
Jasne, że nie znam. Znam tylko rynek, a i to dojeżdżałem w grupie, do tego od południa. Ale...

.
– A jakbyś mnie poprowadził, co? Zdążylibyśmy?

.
Wypuścił wolno powietrze z płuc.

.
– No, może. Ale to musielibyśmy pędzić. Nie wiem i tak. To niech pan jedzie za mną.

.
Nie było czasu na dalszą pogawędkę. Wskoczyliśmy na rowery. Miał chłopak pydę w nogach! Dobrze, że się oglądał, gdyż nie zawsze nadążałem. Skręcamy w lewo, skręcamy w prawo, jedziemy jakimiś chodnikami, potem przez podwórze. Jedzie na skrót, zuch chłopak! Kurde, zjazd a potem podjazd, znowu to samo! Dobrze, że krótkie, ale cholernie wstrzymują i wyczerpują, a ja jadę już na oparach. Musieli ci cholerni Krzyżacy budować Kwidzyn na pagórkach, nie mogli na płaskim?!

.
Wreszcie widzę mój cel, z którego przed południem startowaliśmy w stronę Malborka. Dojeżdżamy do budynku dworca.

.
– Któraa... – chwytam oddech – która godzina?

.
– Dziewiętnasta... osiemnaście – odparł, spojrzawszy na zegarek.

.
– Jasny gwint, to czas odjazdu. – Rzucam wzrokiem na perony. Jakiś pociąg stoi na pierwszym. – To może jeszcze mój. Dzięki, pędzę – krzyknąłem w stronę chłopaka i pobiegłem z moim nieodłącznym rumaikiem w stronę przejścia podziemnego. „Może to mój, może zdążę! Tylko te cholerne kilkanaście stopni w dół a potem tyle samo w górę na peron. A mój rower z sakwami naprawdę waży...”.

cdn.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Zdzisław, dodano 02.10.2023 14:35

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.